

JADWIGA MIGOWA.

## PANTERKA

(Powieść współczesna).

— Niee! Coś podobnego!... Umrę ze śmiechu!... — chichotała przeciągle nowozaangażowana chórzyska, śliczna brunetka o smagłej cerze i ognistych, palących oczach... Mówiono o niej, że to jest nowa „flama” reżysera...

— Hołota!... — rzuciła przez zaciśnięte zęby Stefa i nie oglądając się na nikogo, pobiegła do garderoby. Pogoniły za nią słowa urągliwe:

— Patrzcie, od holoty wymyśla!... Taka artystka!...

— Widać z wielkiego powodzenia w głowie się jej zakręciło!...

— Nie widzieliście... Kwiatami ją obsypali?... — Czekać, kwiaty będą w drugim akcie... perfumiarza stać na to!...

— Naturalnie!... Wieniec z szarfą i napis „wielkiej artystce” *Sytujajca*!... ha! ha! — najgłośniej kpinkowały te, którym najłatwiej mógł się zdarzyć analogiczny lub nawet gorszy *lapsus*. Mściły się z całym wyrafinowaniem, ponieważ Łączkówna swoim aroganckim zachowaniem wzbudziła specjalną ku sobie niechęć.

Zaledwie Stefa weszła do garderoby — wpadł za nią reżyser, wściekły, rozczarowany.

— Ładnieś nas, pani, urządziła!... jak teatr teatrem, nie było takiego skandalu!...

— To sufler... kapelmistrz... — próbowała się tłumaczyć zmieszana — W drugim akcie pójdzie lepiej!...

— I ty sobie wyobrażasz, że ja taką krowienkę jeszcze raz na scenę puszczę! Ogłosi się, że z powodu nagłej niedyspozycji panny Łączkówny zastąpi panna Barwikowska i koniec!

Stefka zbladła:

— Pan tego nie zrobił!...

— Rozumie się, że zrobił!... Już nawet zrobiłem!...

— Co? co?... to... to... jest bezczelność!...

Reżyser tak się w pierwszej chwili zdumiał arogancją „krowienty”, że zaniemówił formalnie. Z tem większą pasją wybuchnął jednak znowu. Wogóle cała ta sprawa irytowała go podwójnie. On to przecież protegował Stefę i preforsował jej debiut w solowej partii wbrew woli dyrektora, który utrzymywał zawsze, że Łączkówna jest dobra tylko do ról... za kulisami!... Na niego więc spadnie teraz poważna część kompromitacji, burza wymówek ze strony dyrektora i niewątpliwe przedrwiwanie rywala — reżysera. O! poprosił opętała go ta dziewczyna swymi zielonemi fosforyzującymi ślepiami dziękującej kotki — ale czar ten był krótki!... Dawno go już zraziło imperfynenckie zachowanie Stefy, jej chytra głupota i historyczne kaprysy, a ten ostatni występ dobił ją zupełnie w jego opinii... Głupia, arogancka, ordynarna, bez krzty talentu, a w dodatku ta świeżo zaangażowana, smagła jak cyganka, łóżka — jest od niej o wiele ładniejsza!... I jeszcze teraz po takiej „klapie” — ona ośmiela się!...

— Co? do kogo ty mówisz?!

— Przedewszystkiem wypraszam sobie mównię mi ty! Zrozumiano? — wrzasnęła Stefa, która w gniewie traciła wszelką miarę.

— Nie! to przechodzi wszelkie granice!... Wynosić mi się w tej chwili!... I nie pokazywać więcej w teatrze!...

— Ow! taki teatr! dużo sobie z niego robi!... Buda, że możnaby cyrk dla pcheł w niej urządzić!... W sam raz dla takiego reżysera!...

Tamtemu oczy wychodziły na wierzch z gniewu. Rozszalały z wściekłości zbliżył się do Stefy z zaciśniętą pięścią, jakby ją chciał uderzyć...

— No! no! tylko zdaleka!...

Przybrała tak groźną postawę, że się natychmiast cofnął.

— Franciszku! — krzyknął do woźnego — nie wpuszczać mi tej panny więcej za kulisy!...

— Słucham proszę pana!...

— Ja bym tu za żadne skarby świata więcej nie przyszła w takie towarzystwo!... Ja jestem na to zbyt inteligentna!... Mój ojciec był urzędnikiem w uniwersytecie!...

— To leć do tatusia do uniwersyteku!... Może cię tam będą w spirytusie pokazywać!... — rzuciła za nią jedna z nasłuchujących pod drzwiami chórzysiek.

Ubrała się szybko, zgarnęła trochę swoich drobiazgów w niedużą paczkę i wybiegła, nie

odpowiadając już na żadne zaczepki. Kiedy ją owiał łagodny chłód wiosennego wieczoru, odechnęła głęboko, oprzytomniała nieco i zastanowiła się, co teraz właściwie robić!...

Wszak Babel jest na widowni, był świadkiem jej kompromitacji, ale co tam on... Trzeba go teraz wywołać i opowiedzieć mu całą historię, tak jak się ona „naprawdę” przedstawia — jak to sprzysięgli się na nią wszyscy, szofer, kapelmistrz, koledzy, a przedewszystkiem reżyser, który na nią „leciał”, a ona odrzuciła jego umizgi!... Mózg jej pracował z telegraficzną szybkością, wysnuwając pasma kłamliwych opowieści, w które zwyczajem kobiet o historycznym usposobieniu sama wierzyć zaczynała...

Obejrzała się wokół i zobaczyła dwunastoletniego chłopca, który trzymając ręce w kieszeniach, pogwizdywał uliczną piosenkę.

— Mały! chcesz zarobić?

— A dlaczego nie?...

— No to skocz do teatru z tą kartką, zapytaj o pana Bąbla i oddaj mu ją!...

— Dobrze!...

Stefa przy świetle latarni nakreśliła ołówkiem na bilecie kilka słów. Chłopak pobiegł z kartką. Po upływie kilku minut powrócił.

— Proszę pani! tego pana niema w teatrze!...

— To niemożliwe!... Był napewno!...

— A był, ale wyszedł!... Bileter mi powiedział!...

— Wyszedł?!

Stefa uczuła się zdziwioną srodze i to nieprzyjemnie. Dlaczego on wyszedł tak szybko, nawet jej nie zawiadomiwszy... To coś niebywałego... Czyżby z powodu tej „klapy”?... A to byłaby ładna historia!... Dokąd on mógł pójść?... Chyba do domu... Trzeba tam zajrzeć... A może do restauracji na kolację?... Ale jakże tak bezemnie... Głęboko zamyślona, zaczęła iść...

— Szanowna osobo!... a kto zapłaci?!

— przypomnieli jej mały, przygodny listonosz.

— Masz!... — rzuciła mu drobny banknot.

Chłopiec skrzywił się po andrusowsku.

— O! jej... tyle... to ci warto było „laker” zdzielać!... No, może drugim razem więcej zarobię, jak „gawer” odbierze list!... *Caję* rączki pani radczyni!...

— Wnoś się!...

Spiesznie idąc, zanurzyła się w wonną zieleń plantacji, gdzie już zaczynały rozkwitać bzy, przesycając powietrze słodkim, upojnym zapachem. Wszyskie ławki były zajęte przez grupujące pary... Po dwoje... po dwoje... Tuż przed Stefą sunie jakiś wysoki mężczyzna z przyczepioną do jego ramienia małą kobietką w fantazyjnym kapelusiku z odwiniętym rondem na jasnych włosach...

Mężczyzna pochyla się ku swej, o wiele niższej towarzysze...

— No, dobrze? — pyta szeptem natrętnym, błagalnym...

— Ja... ja nie wiem...

— jakto, nie wiem?.. No, powiedz, że się zgadzasz!...

— O! ty łobuzie!...

— Ty dzieciaku mój!...

Słychać pieszczotliwy brzęk mandolin... To kilku studentów idzie aleją, grając popularną serenadę... Stefie robi się jakoś „mdło” około serca... I ją zaczyna ogarniać niebezpieczny, romantyczny czar tej nocy majowej. Schodzi na nią jakaś tęsknota... marzenie... z początku nieokreślone, które z każdą chwilą poczyną przybierać realniejsze kształty... Gdyby tak przytulić swoją skroń do tamtej pięknej głowy, wypijać pocałunkami te cudne fiołkowe oczy, stracić przytomność w silnych a brzemiennych słodką pieszczotą ramionach...

— Rom... Rom... — szepczą przez tylu całowane wargi imię jednego mężczyzny, który umiał na nich pozostawić niezatartą pieczęć rozkoszy...

— Rom... Romek...

Nagle — cóż to?... Kto to wylania się z pośród drzew na zakręcie?... Kto to stąpa tak śmiało, pewnie, elastycznie?... Nikt tak nie umie chodzić — tylko „piękny Romek” Królecki!... On... napewno on... Ale nie sam... przy jego boku drepce jakaś figurka kobieca... Rozmawiają żywo ze sobą... Kiedy się zbliżyła, poznała, iż to rzeczywiście Królecki, a z nim Bronka Kuźmiaczówna... Śmiech pusty poroya Stefę, ale jednocześnie czuje jadowite ukąszenie zazdrości... Ta nieładna, niepokaźna Bronka — takie chuchro, takie „nic” i Romek!... Przypomina sobie, iż ilustta Mania opowiadała jej, że pomiędzy

Bronką a Króleckim coś jest... Stefa wierzyć temu wówczas nie chciała...

Mijają ją właśnie, nie zauważywszy...

— Dobry wieczór...

Roman uchyla kapelusza, Bronka skłoniła głowę. Chcą iść dalej, ale Stefa zastępuje im drogę... Błyskają jej białe zęby... świecą zielone oczy... drgają nozdrza...

— Tak we dwójkę!... na spacer?... jak zakochana para!... ha! ha! ha!

— Pani sobie życzy?... — zapytuje chłodno Roman.

— To Stefa Łączkówna — mówi Bronka.

— Oczywiście, że ja!... Chyba mnie pan Roman poznaje?...

— Przepraszam panią, ale nam spieszno?...

— Dokądże tak?

— Jeśli pani taka ciekawa — głos Romana nabral już tonów wyraźnie szorstkich — to odprowadzam narzeczoną do domu...

— Narzeczoną?!

— Patrzcie pafistwo! paradne!... a to gratuluję!... ha! ha! ha!... — Stefa śmieje się jeszcze, ale śmiechem przymuszonym, zdławionym...

Roman ściągnął groźnie brwi:

— Co znaczy ten niedorzeczny śmiech?!

— Ha! ha! ha! narzeczeni!...

— Proszę pani, bo...

Bronka dotknęła delikatnie jego ramienia.

— Daj spokój, Romku, chodźmy!...

Gdy przeszli dalej, pozostawiając śmiejącą się wciąż Stefę, Bronka rzekła przyciszonym głosem:

— Może to i naprawdę śmieszne — to moje szczęście bezmierne... Może ona ma rację... że byś ty taki piękny, uwielbiany z pośród tylu kobiet, wybrał sobie takie nic jak ja...

Roman przycisnął mocniej jej szczupłe ramię do swego ramienia:

— Nie mów tak, bo mi robisz przykrość!... Tyś mi dopiero dała poznać prawdziwą miłość kobiety!... Tak jak ty mnie kochasz, żadna by mnie kochać nie umiała!...

Stefa pędziła tymczasem do domu, gnana chęcią jak najszybszego wywarcia szalejącego w niej gniewu na Bąbla!... Już się przygotowywała, jak to obrzuci go wymówkami najjadliwszymi, on jej zapłaci i za to, co ją spotkało w teatrze i za Romana!... Gdyby Chaniewski był jej protektorem, inneby miała znaczenie, ale z takim wzbogaconym parobkiem nikt się nie liczy pomimo jego pieniędzy!... Kogo on ma za sobą!... Takiego marnego pijaczynę Olczaka?!. Głupiec, chamidło, sknera!...

Ze zdziwieniem zobaczyła, że w oknach mieszkania jest ciemno... Cóż on po ciemku siedzi? Może elektryczności oszczędza?!

— Antek! — zawołała, otwierając drzwi.

Cisza —

— Antek! spisz, czy co?!

Żadnej odpowiedzi. Chyba go niema...

— Marcysiu!...

We drzwiach ukazała się służąca w negliżu, przecierając zaspane oczy.

— Jest pan?

— Niema.

— Ale był?

— Był i poszedł, bo przyleciał po niego jakiś starszy mężczyzna.

— Co za starszy mężczyzna?

— Albo ja wiem!... Taki sobie „prościejszy”, Coś tam mówili ze sobą i pan zaraz zabrakł się i wyszedł z nim... Widziałam, że pojechali do rożka!...

— Hm... dobrze... możesz iść spać!...

Stefa nie zasnęła wcale tej nocy. Rozpamiętując wszystkie przykrości wczorajszego wieczoru, podarła trzy bafystowe chusteczki, zszarpała zębami powłóczkę z cienkiej weby i wylała potoki łez... Czekala na Bąbla, zrywając się za każdym szelestem, ale nie zjawił się...

Majowy poranek zastał Stefę z zapuchniętymi oczyma, z zaczerwienionym nosem — trzęsącą się ze zdenerwowania i z irytacji.

W łóżku zjadła śniadanie, wstała dopiero koło południa i kazała służącej czekać z obiadem na Bąbla... Wybiła godzina pierwsza, potem druga, pół do trzeciej, a Babel jeszcze się nie pokazał... Zdenerwowanie Stefy potęgowało się...

Dopiero po trzeciej godzinie dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku... Babel wszedł błądy i widocznie wzruszony.

Stefa skoczyła ku niemu:

— Co się z tobą działo?!

(Ciąg dalszy nastąpi).